

(...) Marek Hłasko uwielbiał szokować swoimi poglądami i zachowaniem. Brutalny cynik i oddany przyjaciel, obiekt adoracji kobiet i człowiek, który wykorzystywał uwielbienie mężczyzn o homoseksualnych preferencjach. Osobnik uzależniony od alkoholu i pisarz o wielkim literackim talencie, może nawet największym w dziejach PRL.

(...) znalazł zajęcie przy zwózce drewna w Państwowej Centrali Drzewnej „Paged”. Baza transportowa mieściła się w Bystrzycy Kłodzkiej, drewno przewożono po fatalnych, górskich drogach. Marek zatrudnił się w połowie listopada, w górach panowała już zima, dla 17-letniego chłopaka była to praca ponad siły.

„[...] wstawaliśmy rano o czwartej – wspominał po latach – a o dziesiątej wieczór kończyliśmy rozładunek na stacji, potem jechało się jeszcze czterdzieści kilometrów do domu, co przy samochodzie typu GMC z przyczepą po górskich drogach zabierało około dwóch godzin [...]”. Czas spędzony w górach umożliwił stworzenie legendy twardego faceta, mającego za sobą ekstremalne przeżycia.

(...) Zapewne jednak nigdy nie odniósłby sukcesu, gdyby nie pomoc uznanych pisarzy. To oni zdecydowali o jego karierze, nie była to jednak pomoc bezinteresowna. Przystojny i barczysty młodzian stał się bowiem obiektem uwielbienia kilku literatów o homoseksualnej orientacji.

„[...] okazał się wysokim, roslym chłopcem, jasnowłosym i niebieskookim – wspominał Jerzy Andrzejewski. – Nie wiem, czy był piękny. Jego bardzo słowiańska uroda promieniowała uwodzającym blaskiem, cała postać – gwałtowną siłą witalną, w głosie z natury niskim pobrzmiwały akcenty czułe i kuszące. Jeśli powiem, że mnie oczarował i zachwycił, nie powiem wszystkiego”.

(...) Pisarzowi zdarzały się również pobyty na izbie wytrzeźwień. Kiedyś po długiej pijatyce z Henrykiem Berezą uciekł nago (!) i kontynuował libację jeszcze przez wiele godzin. Okryty był tylko serwetą dostarczoną przez Jerzego Putramenta, co nie przeszkadzało mu kilka razy zmieniać miejsca pobytu...

(...) Wydarzeniami z życia Władysława Broniewskiego można by obdzielić kilka biografii – oficer Legionów Piłsudskiego, uczestnik wojny z bolszewikami, a następnie komunizujący poeta, nigdy nienależący jednak do KPP. Więzienie sowieckiej Łubianki i zesłanie do Kazachstanu oraz żołnierz

armii Andersa. A po powrocie do kraju człowiek rozczarowany polską wersją komunizmu, głęboko doświadczony przez los utratą ukochanej żony i córki. Konsekwentny alkoholik, do ostatnich dni życia wlewający w siebie ogromne ilości wódki, naczelny poeta rewolucji i gorący polski patriota.

(...) „[...] któregoś dnia o zmierzchu [...] kapitan Broniewski wraz z kilkoma ludźmi trafił na jakąś plebanię – relacjonował Żukrowski. – Staruszek proboszcz zaczął ich ugaszczać, a ponieważ wiedział, że ludzie walczący są na ogół spragnieni, wyciągnął gąsiorek i zdrowo sobie popijali. Kiedy zrobiło się ciemno, postawił na stole zapaloną lampę naftową. Z sąsiedniego wzgórze zaczęli ostrzeliwać ich Kozacy. Patrol kozacki osłaniał tyły wycofującej się Armii Czerwonej i przeszkadzał chłopcom wznosić toasty za zwycięstwo i Piłsudskiego, do którego Broniewski miał szczególny sentyment. Broniewski, chociaż chwiał się na nogach, złapał z kąta karabin maszynowy i zawołał: – Będę ich kosić, dawać mi taczki!

Wsadzono go do tacek i zaczęto pchać, z góry poszło lekko. Z plebanii wysypali się żołnierze, krzycząc: – Broniewski! Broniewski!, co echo poniosło jako: »Broniewik! Broniewik!« (to po rosyjsku auto pancerne). Kozacy zniknęli w ciemności”.

(...) był jedynym człowiekiem, który w godzinach urzędowania przebywał w siedzibie tygodnika. Grydzewski (...) „niesłychanie cenił go jako poetę”. Nie przeszkadzało mu również, że w redakcji regularnie pojawiała się kobieta pilnująca porządku w kamienicy, prosząc, aby zrobić coś „z panem Broniewskim, bo znowu leży na schodach”...

Nie był to zresztą wyjątek, poecie zdarzało się pod wpływem procentów dość regularnie tracić kontakt z rzeczywistością.

„Lata trzydzieste (...) – opowiadała Adela Bednarska-Strycharz. – Znajomi spotykają się na brydżu. W pewnym momencie brakuje alkoholu. Broniewski ofiarowuje się pójść do sklepu i uzupełnić zapasy. Mija godzina, dwie, a mistrza nie ma. Zniecierpliwione (i spragnione) towarzystwo zaczyna się rozchodzić, podchodzi do windy – winda nie działa. Goście schodzą i... widzą mistrza śpiącego w windzie. Zakupy są, ale troszeczkę opróżnione. Zanim go zbudzono, chichotano kilkanaście minut”. (...)

Leopold Tyrmand przeszedł do historii jako „król bikiniarzy”, co jest raczej krzywdzącą opinią. Był to bowiem człowiek o renesansowej osobowości: erudyta, wielbiciel jazzu i sportu. A do tego znakomity pisarz (...)

Brak wygód nie przeszkadzał Tyrmandowi w prowadzeniu bujnego życia towarzyskiego. Przez jego pokój przewinęło się wiele atrakcyjnych pań, Leopold był bowiem kobieciarzem, zawsze jednak zachowywał dyskrecję. Czasami wręcz nie wpuszczał znajomych do siebie, dbając o incognito odwiedzających go partnerek. (...)

Pierwsze pary kolorowych skarpet przywiózł Leopoldowi z Moskwy (!) Eryk Lipiński. Miały wzór w pasy: czerwone, zielone, pomarańczowe, czarne, Lipiński dołączył do nich kwit z sowieckiego sklepu. Dzięki temu Tyrmand mógł twierdzić, że „jego skarpety są jak najbardziej ideologicznie słuszne, bo kupione w Moskwie”.

Skarpety wymagały odpowiedniego wyeksponowania, zatem pan Leopold nosił zbyt krótkie spodnie, do tego dochodziła dobrej jakości marynarka, koszula z kołnierzykiem na guziczki (...) i właściwy krawat.

(...) Umiejętności taneczne Tyrmanda były powszechnie znane, w efekcie często padał on ofiarą zazdrości kolegów. Ośmieszano go w każdy możliwy sposób, nie cofano się nawet przed żartami na łamach prasy.

„W owym czasie tygodnik »Nowa Kultura« – wspominał Konwicki – na ostatniej stronie pomieszczał króciutkie noty polemiczne, a także zwykłe plotki. Otóż i ja wysmażyłem na tej stronie któregoś dnia lakoniczną wiadomość o tym, że Leopold Tyrmand podczas pobytu w Jastarni udał się do miejscowego domu zdrojowego na dancing i tam uległ wypadkowi, kopnąwszy się w czoło w trakcie prób nowego pas w modnym tańcu. Plotka ta miała swój początek w rzeczywistym zdarzeniu. Tyrmand naprawdę zwichnął nogę w tym słynnym domu zdrojowym”.

(...) Rafał Wojaczek miał tak złą opinię, że żadna ze szkół, do których uczęszczał, nie została nazwana jego imieniem. I nic w tej sprawie nie zmieniły upływający czas ani to, że był jednym z najbardziej utalentowanych poetów epoki PRL.

(...) Nie był jednak lubiany przez nauczycieli, potrafił bowiem zachowywać się w wyjątkowo irytujący sposób. Z niektórymi pedagogami toczył „coś na kształt psychologicznej wojny”, a nauczyciela matematyki „potrafił tak rozjuszyć, że cała klasa zamierała”. Zdenerwowany pedagog „ratował swój prestiż zadawaniem coraz trudniejszych pytań”, a Rafał bez problemu rozwiązywał wszystkie zadania dyktowane przez nauczyciela.

(...)Pomimo obaw rodziny Rafał pomyślnie zdał maturę i dostał się na polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam jednak ponownie dały znać o sobie problemy z adaptacją w nowym środowisku.

„Na samym początku studiów – wspominał współlokator z akademika Marek Prochaska – wszystko jeszcze wyglądało normalnie: korzystał z bonu stołówkowego, chodził na zajęcia, ale nagle któregoś pięknego dnia, jesienią, przyszedł w gumofilcach i jakiejś kufajce. Pytam: »Rafał, co ci się stało?«. »A wiesz, wymieniłem sobie ubranie«. Potem okazało się, że pozbył się też bonu stołówkowego, bo mu nie odpowiadało takie jedzenie, więc postanowił żywić się na mieście. Na koniec zrezygnował z akademika. Pytałem się go: »Gdzie nocujesz?«. »A wiesz – odpowiadał – wsiałam w pociąg do Zakopanego i się prześpię, a potem wracam z powrotem i idę na zajęcia«”.

(...) O Zdzisławie Maklakiewiczu i Janie Himilsbachu, parze outsiderów polskiego kina, do dzisiaj opowiada się dziesiątki anegdot i trudno odróżnić legendę od faktu. Obaj panowie słynęli z rozrywkowego trybu życia, nie przywiązywali też większej wagi do dóbr doczesnych ani własnego wyglądu. Na ekranie grali samych siebie, bez żadnych upiększeń i retuszy. Odeszli przedwcześnie, umarli tak jak żyli, w oparach alkoholu, który towarzyszył im przez lata.

(...) Himilsbach dorastał w biedzie, matka pracowała jako sprzątaczką, nadużywała alkoholu. Gdy w 1942 roku zmarła, zajęła się nim sąsiadka, prostytutka Marianna Berkman. To właśnie ją Himilsbach sportretował po latach jako Mańkę Pędzel w jednym z opowiadań.

Trwała wojna, chłopak porzucił szkołę i utrzymywał się z kradzieży. Jak sam przyznawał, „nie zaprzestał tego procederu” także po wkroczeniu Sowietów, w efekcie został aresztowany i osadzony w domu poprawczym w Szubinie.

(...) Najważniejszy przyjaciel Himilsbacha, Zdzisław Maklakiewicz, był od niego o 4 lata starszy. (...) Słynął jako znakomity gawędziarz, w mistrzowski sposób opowiadał anegdoty z życia teatralnego i z własnej biografii. Jedną z jego sztandarowych opowieści była historia, jak to pojechał do Torunia reżyserować *Śluby panińskie* Fredry.

„[...] kupiłem beret, fajkę i jadę. [...] Wszyscy tam piją, wszystkie panienki chcą iść ze mną do łóżka, bo jestem reżyserem, Klara, Aniela pchają się, ja nic, bo jestem reżyserem. Fajka, beret i nic. W noc po premierze, bankiet, budzę się w łóżku, nie wiem, co się dzieje. Ruszam ręką, czuję jakieś włosy. Otwieram

oczy, patrzę siwe. Myślę sobie, niedobrze. Po chwili okazuje się, że jest to 70-letnia suflerka z mojego teatru, która mówi z bezbłędną dykcją: »Kolega byli wspaniali...«

(...) pojawili się w Ścieku na Trębackiej (w Klubie Stowarzyszenia Filmowców) w towarzystwie pewnego psa. W tamtych czasach alkoholu nie podawano bez zakąski, zatem panowie zamówili wódkę i porcję kołdunów. Sami zajęli się alkoholem, natomiast kołduny podsunęli psu, który rozpoczął konsumpcję wprost z talerza na stole. Nie spodobało się to agentowi lokalu, a gdy jego interwencja nie przyniosła efektów, to wezwał patrol milicji. Funkcjonariusze właściwie nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, wreszcie jeden z nich zapytał: „Co to za pies?”. A na to Himilbach konfidencjonalnym szeptem wychrypiał: „Panie władzo, my sami nie wiemy, myśmy się tylko dosiedli...”.

